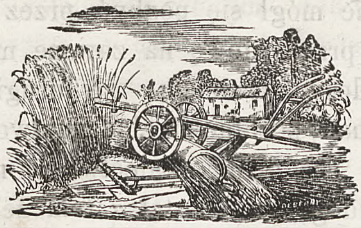
Tom II. 11. Października 1870. Nr. 11.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Żebracy.

(Dokończenie.)

Krzywas po tak dzielnej rozprawie z Umbrelką, usłyszawszy głos dzwonu na wieży kościelnej i zobaczywszy nadchodzących pobożnych do domu Bożego, ukląkł na kamiennej posadzce, kije położył przy sobie i składając ręce z przymkniętemi na pół oczyma, z odkrytą głową, zaczął odmawiać pacierz z taką gorliwością religijną, że zdawało się niepodobnem, aby pobożność ta była kłamaną. Taką jednak była, bo u Krzywasa wszystko było kłamstwem, począwszy od okrywających go łachmanów, aż do pobożnego uderzenia w piersi. Szczególniej zręcznie przewracał oczy, bo jak spojrzał niby w niebo i ręce rozkrzyżował, to bieliły się tylko białka, a źrenice gdzieś bez śladu ginęły. Był to widok niemiły, ale na odpustach wiejskich wielkie miał powodzenie, i lud biorąc to za szczególne uniesienie ducha, cisnął się do niego z wielką chęcią, nadsłuchiwał pobożnej pieśni i wiele razy ujrzał bielejące białka w oczach, wzdychał miłosiernie i sypał grosz szczodry w skorupę żołwiową oszusta. Krzywas na wsi urodził się i wychował, lubił zjeść nieźle, wypić smacznie, ubrać się okazale, mieć zawsze grosz w kieszeni, ale nie lubił na to pracować. Wziął się więc do kradzieży, od małej poszło do większej, oporządzono mu skórę u wójta, potem w sądzie powtórzono raz i drugi,

wreszcie poszkodowany taką mu raz sprawił frycówkę, że Krzywas sińców nie mógł się pozbyć przez miesiąc a szrama z uderzenia kijem przez głowę na zawsze mu pozostała.

Przekonany doświadczeniem, że drugiej podobnej łaźni nie mógłby wytrzymać, postanowił złodziejstwo porzucić a chwycić się żebractwa, do czego mu kalectwo w nodze i skrzywiona twarz wielce były dogodne. Został zatem żebrakiem z profesji, zapuścił kudły na głowie, brodę, wąsy; brud poorał mu twarz jakby zmarszczkami, pochylił się, przygarbił i ruszył w świat do miejsc słynnych cudownemi obrazami, a w końcu wcisnął się do Warszawy. Zachciało mu się skosztować warszawskich przysmaczków, słodkiej wódki, pytlowego chleba i wędlin rzeźniczych, za któremi przepadał, bo wiejskie już mu się uprzykrzyły. Tu wrodzonym sprytem wprędce poznał, że Warszawa dla dziada, to wybrane miasto z pomiędzy wszystkich, byle tylko umiano z tego korzystać. Wypróbował więc wszystkie kościoły, i za najkorzystniejsze stanowisko uznał kurytarze przy świątyni księży Reformatów; żeby zaś zbytniem przybywaniem żebraków nie uszczuplać dla wszystkich zarobku, wszelkich nowych przybyszów wypędzał bez miłosierdzia, czem zyskał sobie uznanie i stał się wprędce wszystkich przewódzcą. Zapewniało mu to przytem i pewne korzyści, bo każdy nowo przybywający na miejsce ubywającego musiał się opłacić, ale i wywołało niezadowolenie wielu, dla których utrzymania w porządku przybrał do pomocy Rudego, z którym na współkę mógłby wołu powalić, nietylko człowieka. Bano się też ich jak ognia; kłótnie i bitwy słabły, bo Krzywas czuwał nad tem, godził sprzeczki, jednał waśniących się, rozstrzygał spory, a który nie chciał się poddać wyrokowi, wygnany zostawał bezpowrotnie zwykle z obfitym przydatkiem szturchańców i uderzeń niemiłosiernych kija.

Kiedy nabożeństwo ukończone zostało i żebracy po wyjściu ludu pozostali sami, Krzywas powstał z kolan i przerzuciwszy oczami po wszystkich, kiwnął ręką, aby się do niego zbliżono, i rzekł:

— Głupi narodzie! żyjecie z proszenia a zapominacie, że ludzie mają oczy i uszy. Pacierz i pokora, to wasza sprawa, a nie kłótnie i zabijatyki. Dziadom coraz trudniej na świecie,

ludzie coraz skąpsi, Bóg wie co na nas wydziwiają, a wy jak psy żyjecie między sobą. Pamiętajcie, żeby tego nie bywało więcej, znacie mnie dobrze, więc słuchajcie co mówię, bo kto nie usłucha, to mu dam taką pamiątkę, co o niej nie zapomni przez całe życie.

— Sprawiedliwie mówi, sprawiedliwie — odezwano się dokoła, a baba grenadjer szepnęła mu coś do ucha wskazując na kobiety z dziećmi. Krzywas zaraz zwrócił na nie oczy i marszcząc brwi zapytał groźnie:

— A wy co tu z dziećmi robicie? — Czy nie wiecie, że tu z dziećmi stać niewolno. Zaraz mi się wynosić, tu wszystko musi być w równości...

Dalej na ulicę! bo jak wezmę kija...

Kobiety chciały się tłumaczyć, ale za pierwszem wymówionem przez siebie słowem, Krzywas zgrzytnął zębami, przewrócił białka w oczach i wrzasnął strasznym głosem:

— Won ztąd najemnice dzieci! — Jesteście złodziejki, bo nas okradacie z miłosierdzia ludzkiego. — Won! won!

Rudy jak wilk spojrzał na żebraczki, przysunął się do nich, dzieci przestraszone głośno zapłakały, i kobiety oglądając się po za siebie zaczęły biedz kurytarzem w pośród szyderstwa i ogólnej wszystkich radości. Jeden tylko Umbrelka stojąc oparty o ścianę patrzył ponuro z przysłoniętemi oczami i coś niewyraźnie mamrotał pod nosem. Wypędzone kobiety z dziećmi wydostawszy się na ulicę, zwolniły nieco kroku podążając ku domowi, aby wynajęty drobiazg pożywić i znów ruszyć na żebraninę. Razem z dziećmi wyszły dwie inne żebraczki osłonięte starannie, aby jeszcze niestare swoje lata lepiej ukryć przed okiem przechodniów. Kiedy weszły na mniej ludną ulicę, jedna z nich przybliżywszy się do udanych matek rzekła:

— Pozazdrościli wam zarobku, ale bo też mieliście dziś szczęście, musieliście choć po pięć złotych zebrać.

— Ej! jeszczem nie rachowała, ale z dziećmi to wielka mordęga. Jak nie płaczą, to nic nie zarobisz, a jak znów bardzo płaczliwe, to ze skrzekiem tyle ucisku, że aż się w głowie przewraca. Zawsze jednak zapłacić trzeba za najem, nic nie pomoże.

— Ej! mała tam pewno zapłata, a zarobek dobry i pracy nie wiele. Dziecko skrzeknie, ot i dosyć, a my bez dzieci to musimy się tyle nagadać, naszeptać, że aż język puchnie.

— Ale co zbierzecie to dla siebie, a my musimy od małego dziecka zapłacić matce czterdzieści groszy, a od większego co chodzi samo, złotówkę i to z góry, i jeszcze kupić bułkę albo co innego jak bardzo głodne.

Kiedy doszły na plac przed Sewerynowem, rozeszły się, a baby dwie bez dzieci pozostały same i jedna wskazując na wasąg stojący przed jedną z sieni tego wielkiego gmachu, rzekła:

— Patrz Maryśko, jakie ta kobieta trzyma śliczne czteroletnie dziecko? — Żeby to można przyjść do takiego, toby się dopiero zarobek poprawił.

I obie zadumały się w milczeniu, pożerając oczami śliczną dziewczynkę, którą matka wiejska kobieta wziąwszy z wasągu, postawiła na ziemi i ugładziwszy włoski i pomiętą sukienkę, poprowadziła po schodach na górę. Na pierwszem piętrze zapukała do drzwi, a gdy te się roztworzyły, druga podobna dziewczynka zawołała klaszcząc w rączki:

— Mamo! mamo! nasza kochana Marta przyjechała.

Zaczęły się więc powitania, całowania, ściskania. Marta niegdyś matka małej Zosi przybyła w odwiedziny z pobliskiej wioski pod Warszawą i przyniosła z sobą małą Kasię trzymającą w rączkach krowi serek na podarunek dla swojej mlecznej siostry. Dziewczynki kochały się bardzo, bo Marta wiele razy przyjechała do Warszawy, dziewczynkę zawsze zostawiała u dawnych swoich państwa, więc się dobrze znały, wspólnie bawiły i zawsze przy pożegnaniu płakały. Serdecznie przyjęta Marta nie mogła się dosyć napieścić ślicznej Zosieńki, a potem dosyć naopowiadać o figielkach swojej Kasi, która ciągle się naprzykrzała o wyjazd do panienki. Obie matki promieniały radością, a gdy dziewczynki pobiegły za zabawą, zaczęły się wypytywania o dom, o znajomych, o gospodarstwo i tak się zagadały, że prawie zeszła godzina, kiedy Marta przypomniała sobie, że musi podążać za mężem czekającym na nią na targu. Przy wyjściu chciała jeszcze ucałować małą Kasię, ale ani jej, ani Zosi nie było w domu. Posłano na podwórze, przeszukano

wszystkie schody, wszystkie mieszkania, przejrzano drwalnie piwnice i góry, wypytywano się każdego, czy dzieci gdzie nie widział, wszystko było daremnie — dzieci przepadły bez śladu. Zrozpaczone obie matki prawie odchodziły od przytomności, a gdy ktoś rzucił domysł, że pewno dziewczynki zostały ukradzione, bo to się nieraz w Warszawie przytrafia, obie krzyknęły wielkim głosem i padły jak martwe na ziemię. Rwetes naturalnie powiększył się, jedni wołali o wodę, drudzy o doktora, pozbiegało się wiele ludzi z kamienicy, ten radził dać znać na policję, drugi krzyczał, aby ratowano matki, a inny zawezwał kilku do pomocy i oświadczył, że trzeba poszukać między szychtami drzewa i zaułkami niedalekiego Powiśla, bo jeżeli dzieci zostały ukradzione, to być bardzo może, że je tam gdzie w ukryciu do zmierzchu zatrzymają. Rada była dobrą i zaraz ze sześć osób pobiegło ku Wiśle na ochotnika.

Szychty drzewa prawie na wskróś zostały przejrzane, od jednej posuwano się do drugiej, niemal każdy klocek obejrzano, każdą szparę, nigdzie jednak nie odkryto najmniejszego śladu. Przy ostatniej dopiero usłyszano szept, jakby ludzkie rozmowy. Podążono więc w stronę słyszanego głosu, ale szept w tej chwili ucichł i kiedy zachodzono w głowę gdzieby się mogły znajdować rozmawiające skrycie osoby, dał się słyszeć płacz dziecka i w tej chwili przycichł, jakby usta płaczące ręką zatkano. Poszukujący krzyknęli dla postrachu: mam cię złodzieju, w tej chwili dwie znane nam już żebraczki, po drugiej stronie szychty wyskoczyły ze skrytki utworzonej ze zsunięcia się kloców na siebie i zaczęły szybko uciekać ku Wiśle. Puszczono się za niemi w pogoń, ale że trzeba było bardzo okrążać, nim więc podążono za niemi, ślad wszelki zginął za złodziejkami. Obie dziewczynki wydobyte ze skrytki, już były obdarte ze swego ubrania, okrywały je łachmany żebracze, włoski przedtem ładnie ugładzone miały do połowy obcięte, a buzie, ręce, szyje i piersi tak omurusane błotem i różnem paskudztwem, że je prawie poznać nie można było. Gdy je ujrzały matki o mało znowu nie zemdlały z radości, i potem padły obie na kolana i tuląc do siebie dzieciny, składały Bogu dziękczynną modlitwę. Wypadek ten nie jest zmyślony, a państwo, u których się zdarzył, znam jak najlepiej i nawet był opisany w gazetach.

Wreszcie o zaginionych dzieciach w naszej stolicy są robione ogłoszenia dosyć często, więc kradzieże dzieci zdarzają się i wcale nie są wielką nadzwyczajnością.

Opisem tym jak powiedziałem, nie chcę was odstręczać od ofiar dla ubogich, ale pragnę zrobić ostrożniejszymi, aby grosz wasz ciężko zapracowany w poczciwe dostał się ręce, zwłaszcza gdy idzie o tak wielką rzecz jak modlitwa. Jest jeszcze inny powód, a i ten nie mniej ważny, oto zapobieżenie, aby się żebractwo nie mnożyło. Narzekamy, że nam źle, ale nie myślimy o tem, żeby było lepiej. Oglądamy się zawsze na cudze ręce, a o swoich zapominamy. Żebractwo wynika z próżniactwa, a próżniactwo z ciemnoty. Miłosierdzie z poczciwego idzie serca, ale gdy sercem nie kieruje rozumna głowa, to często błądzi i źli je wyzyskują. U nas poczciwych serc nie brakuje przy łasce Bożej, ale i ciemnica wszędzie jest wielką, nietylko po wsiach ale i po miastach. Trzeba więc na gwałt światła i nauki, bo jeżeli w jednej zawsze będziemy chodzić ciemnicy, w końcu w kraju naszym więcej będzie próżniaków jak pracujących, więcej proszących jak dających i kraj cały w ubóstwie wieczystem pozostanie.

Zapobiedz temu w naszej jest mocy, ale do tego trzeba dobrej chęci i przekonania, że z upadku nikt nas nie podniesie, ani Francuz, ani Anglik, tylko my sami, jeżeli weźmiemy się za ręce jak bracia i w zgodzie, poczciwości rzucimy się wspólnie i do pracy i do nauki. Rozprószmy ciemności co ziemię naszą Polską jak mgła otaczają, a rozpromieni się nam w duszach, do domów naszych zawita dostatek i wygoda, będą nas wszyscy szanować, bo nad głowami naszemi wznosić się będzie błogosławieństwo Boże, i Najświętsza Panna jako królowa Korony Polskiej rozraduje się w niebiesiech, widząc że jej poddani pełnią słowa nauki Syna Jej Jednorodzonego.

Jan Kanty Gregorowicz.

Mądrak.

„Hej, hej! co ta książki wasze,
Co marne głowy suszenie!
Durny ci czlek nie zmądrzeje
Przez to szkolarskie uczenie!“

„Nie masz to jako niektóry,
Co się już mądry urodzi“. —
Tak mawia ludziom ów Maciek,
Co za mądraka uchodzi.

Ano się zdarza parobkom
Ujrzeć ptaszysko nie lada;
Zachodzą w głowę: „Kiej licho?“
Aż mądry Maciek zagada:

„Oj durne wy, durne ludzie!
I wy się tak dziwujecie?“
— „Jużci“ — odrzeką mu tamci: —
„Bo cóż to może być przecie?“

„I cóż być może? — głupiaki!“
Mądrak im mowę obróci:
„Coś, zkądsiś, gdzieś, po coś przyszło,
I gdzieś tam, dokądsiś wróci!“

Taką dostawszy naukę
Spojrzą ludziska po sobie,
I jeno ten albo owy
W głowę się na to poskrobie —

A mądrak nasunął czapkę
I żywo drogą pomyka;
Taki to mądry ten Maciek
Co wszelkiej książki unika!

B. Komorowski.

Naczelnik pokolenia Osagów.



Obrazek, który tu widzicie, przedstawia wam naczelnika czyli króla dzikiego narodu Osagów. Popatrzcie tylko na jego

ubiór a zobaczycie, że żaden rozumny człowiek nie mógł by się tak ubierać, boby go wszyscy wyśmiali, a przecież strój taki uchodzi u tego narodu za najpiękniejszy, boć się sam król tak ubiera. Osagowie mieszkają daleko za morzem aż w Ameryce północnej w okolicy, co się nazywa krajem Indyan, nad rzeką Plata. Żyją z polowania na dzikie zwierzęta i nie mają stałych siedzib. Dawniej zajmowali oni daleko więcej kraju, ale kiedy ludzie z Europy, t. j. z tej części swiata, w której i my mieszkamy, zaczęli się tam osiedlać, musieli ustąpić i co roku coraz dalej ustępują — a tu zwierzyny brak, nie ma z czego żyć, i pokolenie to dzikie pomału wymiera. Probowali wprawdzie ludzie poczciwi, a osobliwie duchowni nawrócić ich na wiarę chrześcijańską i nauczyć, rolę uprawiać, aleć oni wolą ginąć z głodu, niż pracować i uczyć się. To też coraz ich mniej — coraz bardziej ścieśnia się kraj, w którym mieszkają, a wkrótce wszyscy wyginą. Tak to dzieje się z każdym narodem, który nie chce się uczyć i pracować — więc weźcie sobie to i wy do serca, aby was Niemcy i Moskale nie wygubili.

List Piotra Zębatego do redaktora „Dzwonka"

Karłowary w sierpniu. Już dawno mój szanowny Panie Kazimierzu zbieram się pisać do Was, ale idzie mi niesporo, bo to i ręka moja do pióra niewprawna i w głowie za mało nauki, aby drudzy mieli jaki pożytek z tego, co ja napiszę, a jestem prawie pewny, że Wy chcielibyście ten mój list wydrukować w Dzwonku. Ale co się obiecało, to trzeba dotrzymać, piszę więc jak umiem. Cały kraj czeski przejechaliśmy zdrowo i szczęśliwie tak moi państwo jak i ja, ale nigdzieśmy się dłużej nie zatrzymali, bo państwo spieszyli się bardzo do Karłowarów i dopiero z powrotem staniemy na kilka dni w głównem mieście czeskiem Pradze, dla obejrzenia rozmaitych osobliwości, jakich tam jest wiele. Ja najbardziej jestem ciekawy zobaczyć rzekę Mołdawę, w której zły król czeski Wacław kazał utopić św. Jana Nepomucena, dla tego ponieważ nie chciał

powiedzieć, jakie grzechy królowa wyznała mu na spowiedzi. Chociaż niczemu lepiej przypatrzeć się nie mogłem, bo to kolej leci jak szalona, przecież wszędzie bardzo mi się w Czechach podobało. Bo to mówię Wam panie Kazimierzu miasteczka schludne i ludne; biedy nigdzie nie widać, wioski piękne i bogate, pola dobrze uprawne, bydło rosłe i widać, że dbają o niego, lud pracowity i jak się zdaje bardzo zamożny. Ziemia nie bardzo urodzajna, tu i ówdzie góry wielkie, a grunt kamienisty, ale przy usilnej i wytrwałej pracy, zapobiegliwości i przemyśle, gospodarstwa kwitną. Oj! dobrze by to było, żeby nasi polscy kmiecie mogli się przypatrzyć, jak to te Czechy gospodarują, nie jeden nauczyłby się, o czem jako żyw nie słyszał.

Karłowary, czyli jak Niemcy mówią Karlsbad, jest to nie wielkie miasto, ale ma skarb wielki w ziemi, który je czyni sławnemi i głośnemi w całym świecie. Tym skarbem są źródła uzdrawiające jak i u nas w Szczawnicy, Krynicy, Truskawcu i innych miejscach, tylko że tu gorąca woda bije z źródła. Co lato zjeżdża się tu mnóstwo chorych z całego świata, nawet królowie i cesarze; jedni piją tę wodę, drudzy się w niej kąpią, jak tam komu potrzeba do zdrowia. Moi państwo kąpią się i piją, ja zaś ani tego ani owego nie robię, bo dzięki Bogu zdrów jestem. O tem źródle opowiadają, że cesarz Karol pierwszy je odkrył. Miał on tu polować na jelenie, wtem jeden jeleń skoczył z góry, przebił sobą ziemię i zaraz w tem miejscu wytrysła woda gorąca.

Czesi są dobrzy ludzie i daleko lepsi jak wielu z tych co do niedawna byli u nas przy rozmaitych urzędach, jedno mi się tylko w nich nie podoba, że bardzo ciągną do Moskala, ale się temu nie dziwię, bo nie wiedzą, co to Moskal. Jak ich kiedy weźmie w swoje uściski niedźwiedzie, inaczej oni zaśpiewają. Czesi mówią językiem bardzo podobnym do naszego, tak iż się zdaje, żeśmy bracia rodzeni, dzieci jednej matki, jeno gdzieindziej wychowane. Kiedyindziej może więcej o nich napiszę, a teraz żegnam Was już Szanowny Panie Kazimierzu i pozdrawiam serdecznie. *Piotr Zębaty.*

Przepisy tyczące się zdrowia.

Kto nie wie co to leki, co boleści łoże,
Ten o wartości zdrowia nic mówić nie może.

Pewien uczony podaje dziesięć przepisów dla tych, którzy pragną rzeczywiście pielęgnować zdrowie swoje, i nie narażać go nierozważnie na jaką bądź szkodę, a mogą być pewni, że długo żyć będą. Podajemy je tutaj dla użytku czytelników i uzupełniamy stósownemi wierszykami.

Pierwsze. Staraj się zawsze o świeże i czyste powietrze, bo tylko takie podtrzymuje zdrowie nasze. Unikaj miejsc i kątów, gdzie się znajduje zepsute powietrze. Usuwaj wszystko, coby ci utrudniało oddychanie. Czyste powietrze jest prawdziwym balsamem dla zdrowia.

Miej powietrze zawsze świeże;
Tylko takie zdrowia strzeże.
Wietrz twe izby, miły bracie,
Byś miał świeżo w twojej chacie.

Drugie. Jedz tylko wtedy, gdy prawdziwy masz apetyt i rzeczywiście jesteś głodnym. Nadto nie jedz nigdy. Przestań, skoro głód zaspokoiłeś. Niemierność jest bardzo szkodliwą dla zdrowia. Nie jedz czego nie znasz!

Miarą, miarą, miły bracie,
Bo złe łatwo czyha na cię!
Nie chcesz w życiu doznać biedy,
Jadaj bracie tylko wtedy
Gdyś jest głodny; miej w pamięci,
Nie jeść nigdy nic bez chęci!
Gdy żołądek przeładujesz,
Pewnie srogo odchorujesz.

Trzecie. Powinieneś pić wtedy, gdy czujesz pragnienie. A nie pij nigdy tego, co nie służy zdrowiu twemu. Nie pij nigdy za nadto. Najzdrowszą jest woda. Trunki krew rozpalają i niszczą zdrowie.

A z napojów mocy doda
Zdrowiu twemu świeża woda.
A gorące trunki, bracie,
Przyczyniają się utracie
Sił i zdrowia.

Czwarte. Od samej młodości powinieneś się starać o wykształcenie duszy i ciała. Nie zaniedbywać pierwszego i drugiego, aby utrwalić zdrowie swoje. Gnuśność jednego i drugiego podkopuje zdrowie. Ciało zdrowe przyczynia się do wykonania łatwiejszego roboty; oświeceńsza dusza sprawia przyjemność, która dzielnie wpływa na zdrowie. Ludzie bez humoru rzadko kiedy dobre mają zdrowie.

Co za rozkosz, bracie miły!
Mieć wytrwałe ciało, siły.
Silny łatwo pracę zmoże —
Światły pozna cuda Boże!

Piąte. Spij wedle potrzeby, abyś we dnie osłabione siły znowu wzmocnił i miał dobre zdrowie!

Chcesz udzielić ciału mocy,
To śpij bracie zawsze w nocy.
Gdyś pracował trunków nie pił —
Pewnieś ciało twe pokrzepił.
Gdyś obraził twe sumienie,
Na nic sen, choć jest znużenie!

Szóste. Potrzeby twojego ciała zaspokajaj w czasie i regularnie, bo inaczej wielką poniesiesz szkodę.

Siódme. Utrzymuj ciało swoje zawsze w czystości a duszy twojej nie plam grzechami, żebyś miał sumienie czyste. Utrzymuj ciało zdrowo i rozważnie wypełniaj obowiązki twojego stanu.

Czysto, schludnie i chędogo,
Będzie ciału twemu błogo.
A nieczystość, miły bracie,
I na ciele, w sukniach, chacie —
Wielką szkodę ci przynosi;
Mądry, kto się czysto nosi!

Ósme. Powinieneś się przyzwyczaić do każdej zmiany powietrza, ażebyś kiedy nie naraził twojego zdrowia. Ale ostrożnie, nie za nadto gorąco, bo śmiałków psy gryzą.

Czy na świecie zawierucha,
Czy płatkami śnieg znów plucha;
Czy tam upał, czy deszcz pada,
To najlepsza moja rada:
Bądź na wszystko zuch, wytrwały,
Nie jak piecuch, co dzień cały
Na nalepie wciąż się grzeje —
I nie wyjdzie, gdy wiatr wieje.

Dziewiąte. Od dzieciństwa aż do wieku zgrzybiałego wykształcaj twoje ciało gorliwie i stopniowo, byś się nie nabawił ułomności i nie był chyrlakiem.

Człowiek zręczny, zwinny, zgrabny,
Co ma w chodzie wdzięk powabny,
Znamionuje siłę, zdrowie,
Że jest rurą — nikt nie powie
W pracy się tak nie utrudzi;
Dobre oko ma u ludzi.

Dziesiąte. A gdyby w ciele twojem pokazały się znaki uszkodzenia, gdybyś zapadł w niebezpieczną chorobę, miał jakie boleści, to możliwemi sposobami staraj się o wyleczenie i przywrócenie zdrowia, a w ważniejszych wypadkach zasięgnij rady lekarza roztropnego. W chorobach się nie zaniedbuj i na razie usuwaj niebezpieczeństwo.

Kiedy, bracie jesteś chory,
To korzystaj zaraz z pory,
I radź, lecz się już zawczasu
Żebyś nie miał ambarasu
Nie zaniedbuj się w chorobie
Bo to łatwo legnąć w grobie.
A kiedy ci złe zagraża,
To się udaj do lekarza,
Ale nie bądź niedowiarek,
Byś nie chodził do lekarek,
Do bab różnych, co to szkodzą
I na tamten świat wywodzą.

Józef z Bochni.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Przepis na wygubienie wołków w szpichrzach. Wiadomo gospodarzom, którzy tego doznawali, co to są wołki, gdy się w szpichrzu lub jakimbądź składzie, gdzie jest zboże, zagnieżdżą. — Czyszczenie, bielenie, wykadzanie i wiele innych używanych środków, nie niszczą ich zupełnie, bo ukryte w najmniejszych szczelinach, rozmnażają się bardzo.

Wygubić wołki trudno jest, ale na wyprowadzenie ich używają w Rossyi następującego sposobu:

Gdy pszenica czy to jara czy ozima jest już na dojrzeniu, lecz ziarno nie zupełnie jeszcze twarde, zżynają jej pewną ilość w polu, a wymłóciwszy, tak aby nie porozgniatać ziarna, odmiatają czysto w szpichrzu jakąś przestrzeń i na to wysypują kilka garncy takiej świeżej pszenicy.

Skoro wołki czy to w kupach zboża, lub w sąsiekach znajdujące się, pójdą do téj kupki świeżéj pszenicy, wówczas potrzeba je wraz z pszenicą wynieść i zniszczyć, i znowu tak świeżéj pszenicy nasypać kupkę, dopóki tylko wołki znajdować się będą.

Kilka razy wypada to powtórzyć, a można tym sposobem wszystkie co do jednego z szpichrza usunąć. Lubo z pozostawionych zarodków mogą się znowu świeże wylęgnąć, to na rok następny młodą pszenicą, za przynętę użytą w sposób wskazany, można się pozbyć téj klęski zupełnie.

Jeżeli wołki znajdują się w szpichrzach, gdzie sąsieki są szczelnie deskami przegrodzone, dla pomieszczenia osobnych gatunków zboża, to zamiast wysypywać w jednem miejscu, lepiej jest w każdym sąsieku odgarnąć zboże na bok, a oczyściwszy jeden kącik, owéj pszenicy na przynętę po parę garncy wysypać.

Pszenica na taką przynętę, jak powiadam, powinna być niezupełnie dojrzałą, jeszcze miękką; wprawdzie taką trudno wymłacać cepami, ale można nawet wykruszyć z kłosa rękami gdyż nie idzie o wielką ilość, bo tylko o garncy kilka.

Rozmaitości.

— Kiedy Stefan Batory, król polski ujrzał przed sobą niezliczone wojska nieprzyjaciół, rozważył u siebie, że jako król powinien się przyczyniać do ocalenia swoich poddanych, że chwalebniejszą byłoby jednego ze swoich przy życiu zachować, niż dziesięciu zgubić nieprzyjaciół. Posłał tedy do wielkiego księcia moskiewskiego z oznajmieniem, ażeby oszczędzając krwi poddanych moskiewski książę sam na sam z nim się probował. Ale moskiewski książę stchórzył i wymyślił wykręt: że Stefan Batory nie pochodzi z krwi królewskiej. Nasz dzielny król odpowiedział mu na to: „Przecież ja zacniejszy jestem, bo mnie cnota a nie żywot matki królem uczyniła.“

— O Chmieleckim mówią, że gdy mu Kantymir, dowódzca Turków, Dniestr za granicę proponował, wpadł

na koniu w tę rzekę i na obie jej strony uderzywszy pałaszem, rzekł: i to moje i tamto.

— Doniesiono raz Chodkiewiczowi, hetmanowi wojsk polskich, że nieprzeliczone mnóstwo nieprzyjaciół nadchodziło. A lubo bohater ten garstkę tylko wojska z sobą prowadził, wziął się jednak zaraz po odebranej tej wiadomości za szablę i rzekł: „Tą ja szablą ich policzę.“

— Chodkiewiczowa księżna Ostrogska, gdy na fundamenta kościoła w Ostrogu składano pieniądze, westchnęła, i rzucając garść złota rzekła: „Obym mogła wystawić Bogu z złota kościół tak wielki, by cały świat zajmował.“ Przytomny kapłan rzekł jej na to: „Serce maluchne człowieka jest najmilszym Bogu kościołem.“

— W roku 1675 Turcy oblęgli Trembowlę, miasto teraz w Galicyi austryackiej położone. Szlachta z okolic szukała schronienia w tej twierdzy, a przyniosłszy z sobą wieść o mnóstwie nieprzyjaciół, przeraziła trwogą załogę i naprowadziła na myśl poddania się. Małżonka dowódzcy twierdzy, dowiedziawszy się o tajemnym zamiarze, uwiadomiła męża swego. Chrzanowski, (tak się zwał dowódzca) pobiegł na miejsce, gdzie naradzali się oficerowie o poddaniu się, i rzekł do nich: „Należy wątpić, aby nieprzyjaciel mógł zdobyć twierdzę; to zaś pewna, że was tu wszystkich spalę, jeżeli nie odstąpicie swego zamiaru; żołnierze z zapalonemi lontami czekają na mój rozkaz.“ Te słowa sprawiły pożądany skutek; twierdza bronić się zaczęła z nową dzielnością; odparto Turków w czterech szturmach, a gdy ci sposobili się do piątego, zachwiał się sam Chrzanowski w swej stałości. Małżonka przypisując tę niespokojność męża brakowi wielkomyślności, wpada do niego uzbrojona dwoma pistoletemi i tak mówi: „Jeżeli się poddasz nieprzyjacielowi, jednym ciebie a drugim siebie zastrzelę.“

Nim Turcy przygotowali się do nowego szturmu, nadciągnęła niespodzianie odsiecz, i twierdza została od oblężenia uwolnioną.

— Wiadomo wam czytelnicy, jak nieszczęśliwym jest lud nasz polski pod panowaniem rosyjskiem, jak tam święta religja i kościoły nawet nie są poszanowane. Czytaliście w Dzwonku nieraz o prześladowaniach religijnych, czytaliście o księdzu Piotrowiczu, męczenniku za wiarę na Litwie. Otóż w dodatku do opowiadania o klasztorze Bernardynów w Skępem, co to i obrazek jego był w ostatnim numerze Dzwonka, musimy wam powiedzieć jeszcze, że ten klasztor OO. Bernardynów w Skępem znieśli Moskale w r. 1864.

— Ks. Bielecki w jednem z swoich kazań tak mówił o kłamcy: Kłamliwy język podobny jest do lemiesza: zawsze bróździ, skiby przewraca, jednej stronie weźmie, drugiej położy.

On to również w jednem kazaniu mówił: „Świat ten u mocarzów jest jak piłka u grających: lata od ręku do ręku, biją, tłuką, ręce tam bolą, a toż i królestwa latają jak piłka, a biednych ręce najwięcej cierpią.“

— Piękny przykład miłości ku rodzicom dał nam Bolesław Krzywousty, król polski, gdy przez pięć lat po śmierci ojca swojego Władysława w żałobie chodził.

Bolesław Krzywousty. Tenże król nosił wizerunek ojca swojego Władysława zawsze na piersiach, a ile razy na niego spojrzał zwykł był mawiać: „Niech mnie Bóg zachowa, ażebym cò honorowi ojca mojego nieprzystojnego popełnił.“

Złote ziarna.

Szatan wie, że Bóg wieczny i w sile niezmierny,
Ale o tem zapomniał, że Bóg miłosierny.

Największego grzesznika Bóg sił nie pozbawia,
Tylko na karę własnym siłom go zostawia.

Mówisz: niech sobie ludzie nie kochają Boga,
Byle im była cnota, i Ojczyzna droga;
Głupiec mówi: niech sobie źródło wyschnie w górach
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach.

Że do nieba daleko, niejeden narzeka,
Ziemia dalej, niżeli niebo od człowieka.

Wołasz Boga, on często wchodzi pokryjomu
I puka do drzwi twoich, aleś rzadko w domu.

Szatan choć sobie mądrość i siłę przyznaje
Wie, że kłamie, i wiary sam sobie nie daje,
Dlatego rad wsród ludzi zdanie swoje szerzyć,
By je słysząc z ust cudzych, mógł im sam uwierzyć.

Od Redakcyi.

Panu Maksymowi z Pokucia. Wierszyki pańskie otrzymaliśmy, i odkładamy je na pòźniej, gdyż w tej chwili ich umieścić nie możemy.

Tych szanownych czytelników naszych, którzy prenumeraty za drugie półrocze dotąd nie nadesłali, upraszamy o łaskawe nadesłanie tejże; najtaniej i najlepiej przesyłać można pięciocentowemi przekazami pocztowemi, pod adresem: „Redakcya Dzwonka we Lwowie.“

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza